№ 42. 16. Października 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Pieśni bez nazwy.

Gdyby to można cicho, spokojnie,
Jak w miękkiej trawie, w zimnym ledz grobie,
I tam bez troski spoczywać sobie,
I już nie myśleć o ciągłej wojnie.

Gdyby to można w ten kraj daleki,
Co ciszą wieczną serce obdarzy,
Wzlecieć i zostać już tam na wieki,
I ludzkiej więcej nie spotkać twarzy.

Gdyby to można gorzkiemi łzami,
Powrócić przeszłość, ożyć na nowo,
Cofnąć niebacznie szepnięte słowo,
Co życie teraz do śmierci plami.

Gdyby wstecz życia popłynąć rzeką,
I znów się zbudzić o dawnej sile...
Ach gdyby można, chociaż na chwilę,
Przed własną myślą uciec daleko!...

Boże, dla czegoż świat nazywać sępem,
Który szponami serca nasze targa,
Zawszeć ten wygra, co walczy podstępem,
Zawszeć bez echa prawdy zmilknie skarga,
Czyż zawsze dobro ustępuje złemu,
Nie ma serc prawych? — O nie wierzcie temu,
Tak nie jest, niebo i ziemię poruszę.
Niech przekonają was słowa gorące,
Tak odnajdziecie kochające dusze
I łzy wdzięczności od serca płynące,
Szczere uściski, radosne westchnienia
I słowa pełne ognia i zapału;
Znajdziecie drogę do bram ideału,
I szczęście wieczne, gdy miłości słowy
Napoić duszę swoją zapragniecie
W ramionach nocy cichej księżycowej,
Lub przy słowiku nad wodą w drzew cieniu,
I miłość wieczną i prawdę na świecie,
Przyjaźń i wszystko znajdziecie w marzeniu.

Głowę wsparłem na dłoni,
Zwolna oczy przymknąłem,
A myśl biegła już do Niej —
I wnet przed mym aniołem
Ukląkłem i rączęta
Całowałem w zachwycie,
A Ona uśmiechnięta
Szeptała: — »Moje życie«,
Szczebiotała jak ptaszę,
Słuchałem mej istotki;
Wtem pocałunek słodki
Połączył usta nasze,
A był to pierwszy z gości
Tak dziwny... tajemniczy....
Ile w oczach miłości,
Tyle w ustach słodyczy.
W mem sercu jakieś drżenie,
Myślałem, że wyskoczy —
I otworzyłem oczy.
Senne znikło marzenie,
Uleciało w dal ciemną
Nie powróci — niestety.
Stare biórko przedemną
Nuty, książki — gazety....
Próżno na wszystkie strony,
Wzrok wytężam stęskniony,
Już się obraz nie zmienia,
Znikły senne marzenia
I okuła mnie w pęta
Rzeczywistość przeklęta.

Wincenty Rapacki (syn).

FILOZOFKA*).

(SZKIC Z NATURY).

»Wiem, że w całodziennym repertuarze nie masz pani ani chwilki wolnego czasu. Więc chociażbym miał panią narazić na plotki całego miasta, muszę przyjść dziś wieczorem dla ostatecznego sprawozdania z powierzonej mi sprawy«.

*) Obrazek Ostoi przedrukowujemy z książki zbiorowej, świeżo wydanej na cześć Elizy Orzeszkowej, z racji 25-letniego jubileuszu jej pracy literackiej. Jest to wspaniałe dzieło *in quarto*, na pięknym welinowym papierze odbite i wytwornie wydrukowane. Na 611 stronicach zawiera „Upominek" 288 utworów prozą i poezją, pióra wielbicieli znakomitej pisarki ze świata naukowego i literackiego.

List ten otrzymała panna Karolina dziś zrana, gdy wychodziła na pierwszą lekcję. List do niej! Miły Boże! Alеż ona prawie nigdy nie otrzymywała listów. Od czasu do czasu odzywali się dwaj siostrzeńcy, niby dwa puszczyki, jeden z głębi lasów nad Białem, drugi ze stepów nad Czarnem morzem. Obaj niby z jej łaski na ludzi wyszli. Wielkie rzeczy! Stancję za nich płaciła, odziewała z większego, a jak trochę do rozumu przyszli i zrozumieli, że sierotom smutno na świecie, no, to ich tam przytuliła i popieściła, zresztą nie było czasu na czułość. Dziesięć, czasem dwanaście godzin muzyki dawała codzień! Nie lubiła przytem rozczulać się zbytecznie, przy tych pieszczotach zwykle taki ją żal ogarniał, jak gdyby to ona sama była sierotą, a ona właściwie nigdy nikogo na świecie nie miała; bo i ci siostrzeńcy, to po jakiejś cioteczno-stryjecznej siostrze; ale to wszystko jedno: każdy chłopak urwis i nic dobrego, czy to z rodzonej, czy z ciotecznej siostry na świat przyjdzie! Miała też z nimi kłopotu nie mało: kryli się przed nią z dziurawemi butami, sami naprawiali ubranie, obchodzili się nawet bez książek. Musiała ich szpiegować, ukradkiem prawie zaspakajała ich potrzeby. Teraz zaledwo o swoich siłach stanęli, jeden i drugi w każdym liście do siebie ją ciągnie: jeden nad Białe, drugi nad Czarne morze. Tęsknią łotry! Z każdego listu taki smutek wieje, że ona, chociaż nigdy nie płacze, czytając, mimowoli z dziesięć razy nos wycierać musi; sami tam z życiem pogodzić się nie mogą, a jej raj obiecują! Ten z lasów szczególnie! Ha! żeby się mogła rozdwoić, nie tracąc przytem całości, pojechałaby może, żeby zobaczyć, jak też wyglądają urwisy, dziś już niby ludzie! Dawniej, ten dzisiejszy leśniczy był wilkiem skończonym: ludzi bał się, książki pożerał, chudy był jak chart, bo nauka nie tuczy. Ten zaś, co teraz uczonego agronoma udaje, na panicza pozował! Kupiła mu raz perfum i parę rękawiczek na imieniny, uszczęśliwiony przysiągł, że jej nigdy tego nie zapomni! No i nie zapomniał! Jakie ten chłopak listy pisze! Tak umie treść ułożyć, że nawet te kilka rubli, które do listu wkłada, wyglądają, jak jedno więcej słówko serdeczne, nie zaś, jako datek, albo spłacanie starego długu! Po każdym liście panna Karolina jest prawie gotową do podróży i gdyby jej nagle skrzydła urosły, poleciałaby na północ — prawdopodobnie ten mól książkowy więcej jej do serca przypadał. Ale ona nigdy z miasta nie wyjedzie. Przeżyła tu już lat pięćdziesiąt. Chciałaby im tylko żony miejscowego wyrobu: boi się, żeby tam z nudów głupstwa nie zrobili. Zimno jej się robi, gdy o tem pomyśli. O, nie, ona zna swoich chłopców! Dla jednego ma już prawie żonę, tę swoją Antosię... to też sierota; chowa ją od piątego roku. Sliczne to, ale wątłe i niedołężne — księżniczka! Uboga, byłaby tylko ciężarem dla męża, ale na szczęście może mieć fortunę znaczną nawet. Panna Karolina myślą tą żyje od dwóch lat t. j. od czasu, kiedy zmarł jakiś daleki dziadek Antosi. Po przeczytaniu dzisiejszej kartki adwokata, jest prawie pewną, że proces wygrany!

Ten trzpiot Ławicki, to też jej uczeń dawniejszy! Zdolny był, hultaj; gamy porządnie zagrać nie umiał, ale mazurki i walce na jej cześć układał... Sześć lat go uczyła po to tylko, żeby jej teraz dokuczał.

— Oddaj mi pani moich sześćset sześćdziesiąt sześć godzin, panno Karolino! — woła, ile razy ją na ulicy spotka.

Poczciwy chłopak! Kolega jej Jasia i Stasia, sam ofiarował się prowadzić proces Antosi; wprawdzie z początku drwił sobie z całej tej sprawy:

— Dudka na kościele wygramy, panno Karolino! — Rudawicki, to bodaj krewny Antosi po Adamie i Ewie, a że, jak pani wiadomo, potop powszechny przerwał wszelkie koligacje z tej oddalonej epoki, więc nie wiem, czy się uda węzeł pokrewieństwa nawiązać. Spróbuję, od tego jest prawo, żeby istniało bezprawie. Wszak i pani najprawniej w świecie okradłaś mię z sześciuset sześćdziesięciu sześciu najlepszych godzin mego życia!

Ławicki drwi sobie z całego świata, ale jest uczciwy i rozumny, ma przytem swoje dziwactwa. Kiedy pierwszy raz przyszedł do niej po dokumenty niezbędne do procesu, oglądał izdebkę jak lichwiarz albo komornik.

— I w tej ciupie znalazłaś pani miejsce dla sieroty! — rzekł w końcu. Doprawdy, panno Karolino, chęć mię bierze darować pani moje sześćset sześćdziesiąt sześć godzin. Niech już będzie między nami kwita!

Pannie Karolinie spadł kamień z serca, gdy sprawę w jego ręce oddała; wiedziała bowiem, że będzie jej bronił jak swojej własnej. Sprawa była zawikłaną, proces mógł potrwać lat kilka.

— Żebym przynajmniej mogła umrzeć spokojnie — powtarzała w duchu panna Karolina.

Rozpieściła tę dziewczynkę, zmarnowała ją prawie dobrowolnie, pielęgnowała, jak cieplarnianą roślinę. W przeciągu pięciu lat dla niej pięć razy zmieniała mieszkanie, aż w końcu znalazła suchą, ciepłą izbę na przedmieściu z oknami na ogrody i pola; ztąd trochę nieba, drzew i słońca widać było. Dziewczyna rosła, wyładniała, miała lat czternaście i dotąd zaledwo nauczyła się czytać i pisać; do roboty i do nauki sił brakło...

Warto ją było od śmierci ratować! — powtarzała w duszy panna Karolina. Miała żal do siebie, że nic więcej nad to, co robiła, zrobić nie mogła.

— Żeby jeszcze chociaż lat kilka przetrwać... ale tej sztuki bodaj już nie dokażę.

Nogi puchły, z sercem było coraz gorzej; wprawdzie z jednego końca miasta na drugi przerzucała się prawie bez zmęczenia, ale na

schody wchodziła z coraz większą trudnością. Tylko cera wciąż kwitła, niebieskie oczy, śmiały się wesoło, a w jasnych włosach siwizny ani śladu! I energja nie upadała. Dziś jeszcze, jak przed trzydziestu laty, mogła pracować od rana do nocy. Na wszelkie mniej lub więcej wyraźne oznaki współczucia podrzucała ramionami z wesołym uśmiechem. Głupi ludzie! Onaby tylko swoje spuchnięte nogi i chore serce zamieniła chętnie, ale więcej nic! Żeby znowu zaczęła żyć od początku, żyłaby tak samo, jak teraz żyje!

Dziś nawet bólu w nogach nie czuła, biegała z lekcji na lekcję, jak w gorączce, serce to zamierało, to znów biło jak młotem, na policzkach miała silne rumieńce, oczy błyszczały, w roztargnieniu nie słyszała prawie ani jednej nuty.

— Czyżby to była prawda? czyżbym ja dziś jeszcze mogła być tak szczęśliwą? — powtarzała w duszy, licząc takt i wskazując nuty drżącą ręką.

Parę razy chciała zwrócić z drogi i biedz do adwokata, bała się, że go w domu nie znajdzie. Dzień był nieskończenie długi; na ostatniej lekcji miała gorączkę; żółte i czerwone nuty skakały przed oczyma, serce drgało, to zamierało kolejno, ogarniał ją dręczący niepokój.

— Nie ma racji warjować przed czasem — szeptała drżącemi ustami — zwarjuję z radości... albo... Machnęła ręką nieznacznie; dla siebie osobiście zawiedzionej nadziei nie bała się wcale.

— Panna Karolina wygląda dziś jak narzeczona — żartował stary profesor, emeryt — spoglądając w jej twarz rozpromienioną. A cóż, może?... Ale byłby to straszny afront dla mnie! Stary żołnierz zawsze zna lepiej służbę, niż młody, no i wiary łatwiej dochowa na starość.

Zaśmiali się oboje. Ona mu zeszłej zimy zrobiła sześć par wełnianych skarpetek; odtąd żartobliwie nazywał ją swoim ideałem. Miał ośmdziesiąt lat i dwie wnuczki dorosłe.

Skończyła się ostatnia lekcja... Panna Karolina wiedziała, że Ławicki przed ósmą nie przyjjdzie. Spieszyła jednak, żeby jak najprędzej dostać się do domu. Był mroźny księżycowy wieczór, na ulicach prawie pusto. Szła coraz prędzej, ale droga wydłużała się dziś jakoś bez końca. Pierwszy raz przyszło jej na myśl, że może zadaleko mieszka. Nie pomyślała o tem, szukając izdebki suchej, ciepłej dla swojej dziewczyny. Na rogu ulicy oparła się plecami o ścianę.

— No, proszę, więc to tak działa nadzieja, szeptała z wesołym uśmiechem, przyciskając mocno ręce do serca. Odpoczęła chwilę i poszła dalej, zatrzymując się co kilka kroków.

— Jeden taki dzień pochłonął więcej sił i zdrowia, niż rok spokojnej, ciężkiej pracy! Głupio robię, że się poddaję wrażeniom. Ale jeżeli to prawda... jeżeli moja biedna dziewczyna będzie miała zabezpieczone jutro: no, to z radości nawet umrzeć warto!

Reflektowała się chwilami, ale raz rozbudzona nadzieja nie dała się ująć w karby. U drzwi mieszkania siły ją opuściły... Z ręką na klamce stała czas jakiś, oddychając z trudnością.

W pokoju, na środku paliła się lampa na stole, samowar szumiał przy piecu; na łóżku spała Antosia, przykryta ciepłą chustką; w ciemnym kącie, przy komodzie krzątała się stróżka, przygotowując szklanki do herbaty; ujrzawszy wchodzącą pannę Karolinę, wysunęła się za drzwi cichaczem. Panna Karolina zdejmowała zwolna paltot, kapelusz; ręce i nogi ciążyły jak ołowiane. Znała ten stan, powtarzało się to nieraz; dziś jednak zanadto ją zmęczyło wzruszenie; zataczając się, przeszła z ciemnego przedpokoju do izby.

Na stole obok lampy leżał list; od progu już wpatrzyła się w niego badawczo: poznała pismo Ławickiego. Ból, odrętwienie znikły, krew uderzyła do głowy. Otworzywszy kopertę, jednym rzutem oka przeczytała; »Nie mam czasu ani chwili, zaledwo jutro wieczorem mógłbym wpaść do pani, nie chcę jednak zwlekać z zawiadomieniem o wcale pomyślnym rezultacie naszego procesu: mała ma już w kieszeni piętnaście tysięcy rubli, a drugie tyle otrzyma po sprzedaży majątku. Ha! czasami i ślepa fortuna umie płatać mądre figle! O szczegółach jutro«.

List wypadł z ręki. Panna Karolina usiadła na krzesło. Łzy miała w oczach, chciała zawołać Antosię, głos ugrzązł w gardle.

— A więc to prawda? — szepnęła w duszy — więc to prawda!...

Oparta plecami o poręcz krzesła, z rękami na kolanach siedziała nieruchoma, wpatrzona w list, leżący przed nią na stole... Więc to, o czem marzyła przez lat tyle, sprawdziło się nareszcie!... Dziwna rzecz, jak wszystko w jej życiu składało się szczęśliwie! Sierotą w dzieciństwie zaopiekowali się dobrzy ludzie... Potem odrazu dostała dużo pracy. Rok jeden był smutny, ciężki... najpiękniejszy rok w jej życiu... Świat cały uśmiechał się do niej... nazywano ją wówczas »różyczką«... kochała!... Tak to już dawno, a każdą godzinę z tego roku pamięta... Szczęście trwało kilka miesięcy. Najsmutniejszy koniec łagodziło to przekonanie, że i ona, będąc na jego miejscu, może tak samoby postąpiła... Ożenił się z kobietą dobrą, rozumną... bogatą! Ratował rodzinę i majątek... Kiedy ból pierwszy minął, życzyła mu szczęścia... wprawdzie ze łzami w oczach!

Po tym to roku coś się tam w sercu zepsuło... Późniejszy spokój i zadowolenie już tego naprawić nie mogły... A miała tyle chwil szczęścia z powodu tych swoich chłopców! Podjęła z nędzy, niemal od śmierci głodowej uratowała i z tych zbiedzonych, zmarniałych dzieciaków tacy ludzie wyszli! Uczciwi, pracowici, zahartowani!... Ile to razy ona łzy szczęścia miała w oczach, myśląc o swoich chłopakach!

A teraz... Oh, straszne jakieś gorąco rozlało się w piersiach, przymknęła oczy, ociężała głowa opadła na poręcz fotelu.

W ciszy słychać było lekki oddech Antosi; lampa gasła, smugi księżycowego światła, zaglądające przez okna, rysowały się na podłodze coraz wyraźniej...

Sen ją ogarniał. Z przed oczu znikał stopniowo zmrok srebrzysty, miejsce jego zajęła słoneczna przestrzeń! Uśmiech błogi zastygał na ustach... było jej tak lekko, jak tylko w śnie rozkosznym być może... Chore, sterane pracą jej ciało zostało w spokoju; młoda, silna dusza rozpłynęła się w słonecznej atmosferze.

Z takiego snu budzić się nie warto!

Ostoja (Józefa Sawicka).

W XVI-ym wieku.

Francuski świat muzyczny czyni przygotowania do uroczystego obchodu w 300-ną rocznicę śmierci najznakomitszego muzyka XVI-go wieku, belgijczyka Rolanda de Lassus, znanego więcej pod włoskiem przezwiskiem Orlando Lasso.

Twórca „Lamentation" wielki wywierał wpływ na muzykę francuską. Ślady tego wpływu odnajdują muzycy we wszystkich niemal wybitniejszych kompozycjach XVI-go wieku.

Obchód rocznicy połączony będzie z wystawą instrumentów muzycznych z epoki Orlanda Lasso. Między innemi na wystawie ukaże się zbiór instrumentów średniowiecznych, zachowany w konserwatorjum paryskiem.

W wiekach średnich orkiestr w tem znaczeniu, w jakiem je pojmujemy obecnie, nie było. Umiejętność instrumentacji jest nabytkiem późniejszym, mianowicie XVII-go stulecia. We Francji pierwszy Rameau zaczął rozpisywać utwory muzyczne na oddzielne partje orkiestrowe. Ale kapele istniały już w wieku XVI-ym. Książe bawarski miał na swym dworze orkiestrę z 93 muzyków złożoną. Tej właśnie drużynie muzycznej przewodniczył Orlando Lasso.

Wśród instrumentów muzycznych wieku XVI-go prym trzymały instrumenty smyczkowe, zwane wiolami, które już od XI-go stulecia dzieliły się na tenorowe, basowe, altowe i kontrabasowe. Sztuka wyrabiania tych instrumentów doszła do wysokiego stopnia doskonałości. Z wioli z czasem powstały skrzypce nowoczesne.

Używano dalej lutni, mandolin, gitar, cytr i innych tym podobnych instrumentów strunowych, które cieszyły się szczególniejszą wziętością w sferze dam szlachetnych i kurtyzanek modnych. Lutnię pisarze XVI-go stulecia nazywają »omnium instrumentorum princeps«. Najwięcej utworów na lutnię dostarczały Włochy i Hiszpanja.

Obecnie z całej masy tych instrumentów pozostały gitara i mandolina.

W wielkiem użyciu były flety, których wiek XVI-ty ma około 21 rodzajów. Wszystkie te instrumenty wyszły już z użycia, oprócz jednego, znanego pod mianem flażoletu.

Używano również dzwonów i dzwoneczków, pochodzących z czasów głębokiej starożytności, rodem podobno z Chin z czasów Konfucjusza. J. J. Rousseau w swoim »Dykcjonarzu muzycznym« nazywa szorstko muzykę tych dzwoneczków »głupią«. Sztuka grania na »carillon« przy użyciu pedałów była bardzo trudną, wymagała dużej siły i większej jeszcze biegłości. Jak twierdzi Rousseau, artyści, grający na tych instrumentach, oblewali się potem i często zmuszeni byli przerywać grę i kłaść się do łóżka z... wycieńczenia.

Wreszcie w XVI-em stuleciu wielką rolę w muzyce odgrywały organy, wynalezione w Aleksandrji w r. 250-ym przed Nar. Chr. przez znakomitego mechanika Ktezyljana. Do Francji sprowadzono pierwsze organy w r. 757-ym, jako podarunek cesarza Konstantyna dla króla Pepina. Pedały do organu zastosował organmistrz niemiecki Bernard Murer w drugiej połowie XVI-go wieku.

Aby wprowadzić w ruch organ w Wenchester, zbudowany w r. 951-ym, trzeba było siły 60-ciu mężczyzn, organista zaś, grający na klawiszach, ogromnie szerokich, nie palcami już manewrował, ale wprost... pięścią.

Prócz wielkich organów kościelnych, używano w wieku XVI-ym organów małych, pokojowych, o trzech lub czterech oktawach.

Wszystkie te osobliwości oglądać będzie można niebawem na wystawie, urządzonej z powodu 300-ej rocznicy Rolanda de Lassus, zwanego z włoska Orlandem Lasso...

(Kurjer War.)

„Secesja" w Monachjum.

Dwa lata minęło jak w Towarzystwie artystów: »Künstlergenossenschaft« powstało rozdwojenie, które powoli do tak potężnych doszło rozmiarów, iż rozszerzywszy się na całe Niemcy, wywołało przewrot w artystycznem życiu i ruchu tego kraju.

Powodem do tego, a raczej pretekstem było starcie interesów osobistych, w istocie przyczyna jest daleko głębsza. Jest to wieczna potrzeba odnawiania się, tkwiąca w każdym organizmie, tak w indywiduach oddzielnych jak i w towarzystwach. Życie — to ruch i ciągła przemiana,

nic więc dziwnego, że i »Genossenschaft« bardzo szanowna zresztą, ale trochę leniwa instytucja, (tem leniwsza, iż składa się z 1.000 prawie członków, z których ledwie 200 maluje obrazy możliwe na wystawę) tym samym prawom podlegać musi.

Rozdwojenie doszło do tego stopnia, iż cała grupa artystów monachijskich złożona przeważnie z najgłośniejszych nazwisk w sztuce nowoczesnej, że tylko kilka z tych nazwisk wymienię: prof. Bruno Piglhain, Gabriel Max, Albert Keller, Fritz von Uhde, Lieberman i inni, odłączyła się od »Genossenschaftu« i założyła nowe towarzystwo »Verein Bildender Künstler Münchens«, któremu to towarzystwu dla scharakteryzowania, iż się odłączyło od dawnego, nadano przydomek »Secesja«.

Przydomek ten został i wszedł w użycie, ale pod nim kryje się nie żadna anarchja artystyczna lub zbuntowana jakaś młodzież. Jest to towarzystwo poważne, możliwie rozumnie zorganizowane, składające się przedewszystkiem z najgłośniejszych artystów monachijskich, do których, jako honorowi członkowie przyłączyli się tacy artyści: francuscy, belgijscy, angielscy i t. d. jak: Dagnan Bouveret, Besnard, Roll, Gervex, Corolus Duran, Israels, Courtens, Herkomer i wielu innych.

Stanął wreszcie w kwietniu r. b. gmach choć tymczasow , ale wspaniały i urządzonono w nim pierwszą wystawę nowego towarzystwa. Obrazów tu daleko mniej niż na innych wystawach, (jury było nadzwyczaj ostre i wybredne) poziom za to ogólny jest znacznie wyższy, niż bywało i całość robi wrażenie bardzo poważne, spokojne, a nie męczące.

Dawne wystawy to bazar, sklep kunsthändlera, odurzający krzyczącemi i sprzecznemi z sobą barwami i niedający widzowi skupić się w jednym kierunku i na jednem wybitnem dziele sztuki. Wystawa secesji — to kilka salonów, urządzonych umiejętnie, widz nie męczy się, może skoncentrować uwagę na to lub inne dzieło sztuki i po obejrzeniu wszystkiego, wrażenia jakie mu pozostają, są o wiele jaśniejsze, niż dawniej, kiedy wynosił chaos i zmęczenie fizyczne prawie przygnębiające.

Tyle o powstaniu nowego towarzystwa i o wystawie secesji. A teraz chciałbym choć w krótkości wytłumaczyć głębsze znaczenie tej wystawy i bezwiedny może, lecz bardzo silny ruch artystyczny, który jest w trakcie wytwarzania się.

Przedewszystkiem zróbmy krótki bilans tego, co mamy po za sobą.

Romantyzm zabił nudny, bezkrwisty pseudoklasyczny szemat, dał swobodę, rozwinął fantazję i wyraził się ostatecznie w kilkunastu arcydziełach. Ale zabrakło silnych indywidualności i romantyzm znużył, bo mógł egzystować tylko na olbrzymich talentach oparty, szary tłum, który szedł za nimi, to nuda, znowu szemat, przesada nieznośna, mało a raczej nic obserwacji, same frazesy i patos pusty...

I oto zjawia się reakcja tem silniejsza na razie, im więcej społeczeństwo romantyzmem zmęczone było, wyradza się — realizm, naturalizm, nazwy może nowe ale sens stary, bo powtarzający się od wieków w sztuce.

Realizm przynosi ze sobą obserwację głębszej natury, wyłamuje jakoby drzwi od pokoju, zatrutem i stęchłem powietrzem napełnionego, odrzuca zestarzałe formułki, które miały rację bytu w swoim czasie, kiedy stworzone zostały przez indywidua dla osobistego ich wyrażenia siebie, ale przystosowane dalej stały się pustym frazesem. Zjawiają się literaci i artyści genjalni, charakteryzujący w sobie cały ruch, ale jednocześnie obracający się w bardzo ciasnych granicach. Fantazja, wyższe uczucia i pragnienia to już niepotrzebne na razie, tylko obserwacja, studjum ma rację bytu. Dochodzą do nonsensu i powtarza się znów stara historja, tylko prędzej niż się spodziewano, przychodzi przesyt.

Myśl ludzka nie pozwoli się za długo trzymać w ciasnych granicach, to, co realizm dobrego zrobił, uznać trzeba, ale to tylko cząstka całości, to nie relsy, w które można sztukę wsunąć, pchnąć naprzód i spać spokojnie, trzeba swobody, i oto zarysowuje się w ostatnich kilku latach nowa reakcja. Chcą zużytkować to, czego realizm nas nauczył, ale w daleko szerszych granicach.

W Anglji szkoła szkotów oparta na fantazji daje nam próby z talentem. We Francji symboliści, mistycy, neochrześcjanie chcą w sztuce wyrazić (często niedołężnie) niepochwytne dotąd wrażenia. Nerwowe natury przy schyłku wieku szukają gwałtownie nowych sposobów wysłowienia się. Niemcy, jak zwykle, mniej inicjatywą się odznaczający, podlegają wpływowi Francuzów.

We wszystkich wre chęć odświeżenia się, wszyscy próbują...

W tem właśnie tkwi ruch, zarysowujący się obecnie. To jest głębsza przyczyna rozprzężenia towarzystw artystycznych we Francji i w Niemczech.

Artyści żywsi, w pełni twórczości, zgodzić się nie mogą z kilkunastu malarzami zadowolonymi z siebie, siedzącymi w wygodnych a zaśniedziałych fotelach. Oprócz tego za każdym odważniejszym krokiem czuli się oni przytrzymani za poły surduta przez zwarty szereg tłumu malarzy, stanowiący ogromną większość towarzystwa. Otrząsnęli się wreszcie i są panami u siebie.

Zarzucić będzie można i tutaj bardzo wiele, bo ludzie ludźmi zawsze zostaną, ale jest to krok naprzód, jest przynajmniej przebudzenie z dawnej ospałości tem więcej usprawiedliwione, że ci, którzy do nowego życia chcą sztukę powołać, należą po większej części do najwybi-

tniejszych sił niemieckich i francuskich i że mają poza sobą fundament prawdziwej wiedzy i doświadczenia.

Wacław Szymanowski.

SĘDZIULKO.

(SYLWETKA).

Typ to już prawie zaginiony — coś niby z mamutowych pozostałości.

A jednak... tak niedawno jeszcze, któż z nas nie pamięta choćby jednego z owych poczciwych, podążających w dni targowe ze wsi do miasteczek, w których dawne sądy pokoju posiedzenia swoje odbywały.

Wlokły zwykle staruszka dwa dobrze już pełnoletnie deresze, bielejące przy pyskach, jak gdyby je był golarz upudrował.

Ciężkie łby zwieszone ku ziemi, wpół otwarte wargi, z pomiędzy których długie płaskie zęby wystawały; nierozczesane grzywy i ogony między uda wtulone, świadczyły o braku wszelkiej kokieterji, którą konie do pewnego wieku, w wyższym nieraz stopniu od kobiet nawet, posiadają.

Weterany te, chodzące w zgodnej parze od lat już kilkunastu, miały jednak sobie zawsze coś nowego do powiedzenia; przez całą drogę poruszały dolnemi wargami, strzygły uszami raz mniej, to znów więcej, w miarę ożywiającej się pogawędki. Czasem tylko, gdy mucha, bąk, lub inny jaki owad naprzykrzony, pozwoliły sobie zamącić błogi ich spokój, lub przerwać poczętą gawędkę, deresze stuliwszy uszy, oganiały się pyskiem, lub machały ogonami na znak protestu przeciwko nieznośnym natrętom.

Na koźle koczobryka, nieokreślonej barwy i fasonu, kiwał się stary woźnica, w rzetelnie wypłowiałej liberji, z kaszkietem na sam nos prawie naciśniętym, dzierżąc, więcej dla zwyczaju niż z potrzeby, lejce i bat, bez których to insygnij deresze byłyby się wybornie obeszły. Drogę do miasteczka i sądu znały one tak już dobrze na pamięć, że w noc najciemniejszą byłyby sędziulka z pewnością pod sam przybytek Temidy zawlokły.

Ilekroć droga wiodła przez piaski lasem i zagajami porosłe, deresze, lubiące widocznie balsamiczną woń żywicy, z truchcika przechodziły w stępo, którego im ani pan sędzia, ani jego woźnica, za grzech poczytywać nie myśleli.

Między panem a starym sługą zawiązywała się wtedy pogawędka, potrącająca czasem nawet o sprawy, jakie pod rozsądzenie przyjść miały.

Stary Walenty, do którego protekcji często się delikwenci udawali, prosząc o »pogadanie ze sędzim«, napomykał wtedy okolicznie, tak coś tam, zlekka, na korzyść forytowanej przez siebie strony.

Sędziulko milczał, ale słuchał, posiadał bowiem wielką umiejętność cierpliwego słuchania, zaletę tak nieraz rzadką u ludzi. Napozór nic sobie niby ze słów Walusia nie robił, ale w umyśle ważył zdanie prostaczka, bo dopiero, gdy stary gawędziarz, rozgadawszy się na dobre, huknął w kamień, lub wystające korzenie drzew, Sędziulko, podskoczywszy na siedzeniu, wołał niby gniewnie, pocierając głowy:

— Ot, lepiejbyś Walenty do stu par djab... patrzył przed siebie i przed konie!...

— Nie szkodzi, jaśnie panie — uspokajał stangret — nic im nie będzie.

— Ale mnie się o budę kapelusz spłaszczył! dodawał zniecierpliwiony, nie wspominając już nawet o głowie.

— Nie szkodzi, jaśnie panie — odpowiada stary — »kapelusz« się wyprostuje, a taki Mateusz Woźniak ma rację — i snuł dalej na temat Woźniaka przerwaną chwilowo gawędę.

Sędziulko przestawał niby słuchać, dla okazania tego Walentemu zaczynał sobie pogwizdywać, przyglądać się drzewom przydrożnym, które znał jak rodzone swe dzieci, to znów podnosił do oczów gazetę, w którą się niby wczytywał. Walusia nie zrażało to jednak ani trochę, gadał i gadał o sprawie Mateusza Woźniaka i jak gdy kropla wody z dachu w jedno miejsce spadająca i kamień zwolna wyżłabia, tak też uwagi Walusia, powtarzającego całą drogę jedno w kółko, często nie bez pewnego wpływu na los samej sprawy pozostawały. Wiedział o tem dobrze ludek okoliczny, kochający Sędziulka jak ojca, zwykle też przez cały czas posiedzenia sądu koczobryk nieokreślonej barwy bywał jak forteczka jaka obleganym przez interesantów, podpytujących Walusia, ażali »o ich sprawie pogadał ze Sędzim«.

Kiedy późnym już wieczorem wracali z sądów do domu, łatwo z miny woźnicy można było wyczytać, czy sprawa jego protegowanego w łeb wzięła, lub była wygraną. W pierwszym razie, chmurny i zamyślony, nie odzywał się wcale do pana. Zły, że go minęła obiecywana »funda za pogadanie ze Sędzim«, leciał jak szalony, uderzał w kamienie i gałęzie, mścił się na biednych dereszach, które za otrzymywane baty oglądały się żałośnie na starego przyjaciela, jak gdyby przemówić doń chciały:

— Bój się Boga, Walusiu, cóżeśmy ci winne za wyrok Sędziulka!

Natomiast, gdy sprawa wyszła po myśli Walentego, minę miał gęstą, oczy uśmiechnięte... Sędziulka otulał derką, żeby sobie »nogów« nie zaziębił, do koni przemawiał łagodnie, zagrzewając je ciepłem słowem do lepszego chodu, a kamienie i gałęzie omijał tak ostrożnie, że pana

przez całą drogę na jedno nie naraził stuknięcie.

Tak przejeździł zacny Sędziulko większą część swego żywota; co mu czasu od sądów zbywało, to mu go pochłaniały rady familijne, opieki nad sierotami, sądy polubowne, honorowe na których rozwijał cały swój talent oratorski i skarby złotego serca, godząc zwaśnionych i zapobiegając rozlewowi krwi.

— Krew wasza — mawiał — to własność kraju, grzech więc szafować dla wybryków i buty młodzieńczej!

Oddany aż do zaparcia służbie publicznej, gospodarował Sędziulko na swój sposób. Nad jedną z facjatek starego modrzewiowego dworu. wystawała wieżyczka, przypominająca gołębnik raczej niż basztę; z niej to obserwował Sędziulko przez lupę, jak woły, zamiast orać, w rowie się pasły, jak konie drzemały w bronie, gdy tymczasem parobcy i fornale wygrzewając się na słońcu, słuchali dźwięków skrzypki, na której im karbowy, eks-organista, przygrywał.

— Dobrze, że trochę bydlątkom folgują — mawiał wtedy sobie — dobrze, że też sami o swych biedach zapomną — dodawał uradowany, ciesząc się tym sielankowym widokiem.

Ale nikt się nie dziwił, że u Sędziulka roboty w polu zawsze opoźnionemi bywały i że coraz bardziej szwankowała gospodarka, zdana na łaskę ludzi i na opiekę Boską.

To też, gdy strudzonemu ziemską pielgrzymką sen wieczny zamknął powieki, spadkobiercy nie bardzo się po nim obłowili. Za to nie było w okolicy człowieka, któryby nad mogiłą zacnego starca nie westchnął z serca:

Szkoda naszego Sędziulka!...

Jordan.

Przenoszenie domów w Ameryce.

Codzień zdarza się po większych miastach, że dom jakiś uledz ma rozebraniu i zupełnej zagładzie, gwoli komunikacji, dla zrobienia miejsca nowej ulicy, bulwarów i t. p. Praktyczni jak zwykle amerykanie znaleźli sposób na to, aby uprzątnąć dom, który zawadza, nie burząc go wcale. Jakoż zdumione oko cudzoziemca widzi od czasu do czasu dziwo na tej dziwacznej półkuli: oto dom cały, cała kamienica jedzie, przeprowadza się na inną ulicę! Opiszemy pokrótce taką operację, jak ona dokonywa się w Chicago, gdzie specjaliści od przewożenia domów, »house-movers« mają najwdzięczniejsze do tej operacji pole, bo to miasto ogromnie się rozrasta, i gdzie wczoraj stał dom, jutro jest ulica, a pojutrze nowe na tej ulicy domy stawiać będą.

Niedawno wielka co się zowie kamienica w Chicago skazaną została na zagładę. Front jej do 29 metrów długości, wysokość 15 metrów nad poziom, waga ogólna 8.100 tonn; 14 mieszkań po 8 pokoi każde, ogółem przeszło sto pokoi. Kosztowała około 50.000 dolarów, towarzystwo kolei obwodowej musiało ją nabyć i zapłaciło cenę wyższą, bo 63.000 dolarów. Ale powzięło myśl przewiezienia kamienicy w inne miejsce, co wedle obliczeń specjalistów, miało kosztować do 20.000 dolarów.

Inżynierowie dokazali tej sztuki i kamienicę przeprowadzili. Kamienica odbyła podróż o 61 metrów ze wschodu ku zachodowi, potem zrobiła zakręt i posunęła się jeszcze o 45 metrów ku północy. Operacja tak nieprawdopodobna na pozór, była jednak dziwnie prostą. Najpierw wydrążono w murach, równo z poziomem otwory, w które zasadzono pod całą budowlę grube belki o 30 centymetrach średnicy; belki te wystawały zewnątrz na półtora metra. Pod te belki podsadzono w poprzek inne belki, mające 36 centymetrów średnicy. Tym sposobem utworzony został rodzaj platformy, na której dom miał spoczywać w czasie transportu. Pod tę platformę podłożono windę i poczęto piłować mury domu u dołu pod poziomem pierwszych otworów. Z chwilą, w której ta czynność została ukończona, dom spoczywał już całym swym ciężarem na platformie.

Teraz należało podnieść kamienicę o 1.07 metra, aby sporządzić pomost, po którym kamienica mogłaby się posuwać. Siedmset wind użyto na ten cel; kiedy tego dopełniono, zastąpiono windy blokami, odpowiednio umieszczonemi na belkach, i przesuwanie kamienicy się rozpoczęło.

Dwanaście wind ośmiostopowych, umieszczonych prawie poziomo, stanowiło motor. Kiedy dom przebył stóp siedm, windy, które po ośm stóp mają, posuwają się na nowy dystans i znowuż dom o 7 stóp się posuwa. Czynność tę zdążono trzykrotnie w ciągu doby wykonać, dom posunął się o stóp dwadzieścia. Toż samo dni następnych.

Warunek nieodbicie potrzebny przy takiej czynności, aby przewożona w ten sposób kamienica nie runęła, jest, że platforma winna być jaknajdokładniej poziomą, aby ciężar wszędzie był równomierny. Jestto rzecz, na którą też inżynier kierujący czynnością największą zwraca uwagę. Czynność ta dokonywa się powoli, uważnie i spokojnie. Dwudziestu czterech robotników wystarcza tu zupełnie; połowa ich obraca szruby windy, co bynajmniej wielkiego natężenia siły nie wymaga — druga połowa składa pomost z bali, mających 20 centymetrów grubości.

Rezultat ostateczny takiej przeprowadzki całej kamienicy był zdumiewający. Mury nie zarysowały się nawet ani w jednem miejscu, i ani jedna szyba w całym domu się nie stłukła!

Największe trudności w tych przenosinach były na zakręcie. Trzeba było bardzo powoli zbaczać w odpowiednim kierunku przy układaniu belek, dopóki całego ciężaru nie zdołano skierować jak trzeba.

Na nowem pomieszczeniu przygotowano mocne fundamenty, najdokładniej wykonane według tych, z których kamienica zdjętą została. Cała czynność przeprowadzki domu trwała sześćdziesiąt dni.

Taka jest metoda, wedle której przenoszą się całe kamienice w Chicago. Jeszcze trudniejszą operację wykonano z inną kamienicą, która miała dwa skrzydła i nie mogła zmieścić się w całości na drodze, którą przebyć miała. Tę kamienicę przepiłowano na dwoje w kierunku pionowym i każdą połowę z osobna przewieziono; poczem obiedwie połowy, zestawione sposobem wyżej opisanym, spojono cementem — wszystko poszło jak z płatka i nikt z nas, przynajmniej europejczyków, ani by się domyślił, że ten dom był przekrojony, częściowo zwieziony i sklejony. Takie rzeczy są na porządku dziennym u naszych bliźnich na drugiej półkuli...

Jest jeszcze jedna operacja analogiczna z poprzednią, jaka bywa też na porządku dziennym w Chicago, a mianowicie podwyższenie danego domu o jedno lub dwa piętra. Jestto rzecz u nas zwykła, tylko że u nas dobudowywa się w tym celu piętro wyższe, a w Chicago przeciwnie — niższe piętro się dobudowywa. Dzieje się to na tej samej podstawie co w powyżej opisanym sposobie przewożenia domów. Mianowicie, dom przepiłowywa się na wysokości poziomu pierwszego piętra lub parteru, a cały dom pozostały jedzie w górę i spoczywa na platformie. Tymczasem zaś buduje się piętro, którego potrzeba, jedno i drugie, a gdy wszystko gotowe, opuszczają się napowrót górne piętra i wszystko jest w porządku. Ta metoda praktykuje się często w tych dzielnicach zwłaszcza, gdzie grunta są bardzo drogie i gdzie domy budują się o ile możności w górę, a nie wszerz. Robota podobno sowicie się opłaca; wedle praktycznego bowiem obliczenia, jeżeli dobudówka kosztowała dajmy na to 100.000 dolarów, to za nowe mieszkania gospodarz zyskuje do 25.000 dolarów rocznie. Dodać należy, że i podczas owego zawieszenia kamienicy na platformie, ściany ani pękały, ani się nie rysowały.

Z ruchu literackiego.

Dzisiejsza Grecja (La Grèce d'aujourd'hui) Gastona Deschamps, niegdyś członka »Ecole française« w Atenach, znanego ze swych studjów archeologicznych, jest nader ciekawym obrazem dzisiejszych potomków starej Hellady, przedstawionym z iście paryskim dowcipem i lekkością opowiadania. Autor rozpoczyna opis swój od Aten, które maluje naprzemian ze strony archeologicznej, to pod względem uroków przyrody, to znowu kreśli typ dzisiejszego Hellena, który, zdaniem p. Deschamps, niczem się nie różni od Ateńczyka z epoki Peryklesowej. I dzisiejszy Hellen ma upodobanie w życiu publicznem, w hałaśliwem politykowaniu, w handlu i żegludze, pracę zaś właściwą poczytuje za coś służebniczego. Po opisie dworu królewskiego, autor charakteryzuje dwie partje greckie, stronnictwo palikarów czyli radykalistów pod wodzą Delyanisa i stronnictwo inteligencji, pragnące kultury zachodniej, kierowane przez Trikupisa. Zajmujące są obrazy posiedzeń sejmowych oraz wyborów i agitacyj wyborczych. W uprawie języka są dwie partje: jedna pragnie dzisiejszą mowę zbliżyć do języka starożytności, druga, jak np. uczony Jan Psichari, oprzeć ją na narzeczu Kleftów i Palikarów. Ten ostatni kierunek popierają poeci, zwłaszcza erotycy. Czasopisma są liczne i odznaczają się nadzwyczajną śmiałością. Podobnie jak starożytni Hellenowie, Grecy dzisiejsi mają wielkie upodobanie w teatrze, a głównie w teatrach ogrodowych, gdzie grywają dość naiwne dramata, których bohaterami są herosowie walk z Turkami. W końcu p. Deschamps opowiada o słynnych rozbójnikach greckich. Cała książka, odsłaniająca nam obraz społeczeństwa południowego, nieznanego, a zajmującego pod wielu względami, czyta się, dzięki treści i ponętnej formie, z niesłychanem zajęciem.

Dzieje literatury powszechnej. Nowy tom poważnej i pożytecznej pracy, — wypełniającej lukę w naszem piśmiennictwie, bardzo dotkliwą dla tych, którzy wykształcenie swoje pragnęli zaokrąglić poznaniem dawnych literatur obcych, przynosi »część pierwszą« dziejów literatury nowożytnej, a »drugi okres«, którzy autorzy nazwali »czasami reakcji i pseudo klasycyzmu«. Początek tej fazy widzimy w zaduszeniu filozofji włoskiej, która tyle obiecywała w Giordano Bruno i Campanelli, — koniec zaś w powstaniu znanego dzieła Smith'a, od którego się zaczyna nauka ekonomji politycznej. Ten okres »reakcji« przeciw impulsowi, jaki dało »odrodzenie«, obfituje jednak w wielkie nazwiska i wielkie dzieła. We Francji pisze Descartes, Pascal, Corneille i Racine, w Anglji Shakespeare, Milton, Swift. Tom obecny »czwarty«, zawiera literaturę włoską, w opracowaniu p. Edwarda Porębowicza, francuską przez p. Juliana Adolfa Swięcickiego i angielską przez p. Feliksa Jezierskiego.